

Narodziny nowych bogów

Gdy człowiek podejmuje zadanie oswojenia jakiejś przestrzeni, przeważnie przyświecają mu szlachetne cele. Niejednokrotnie jednak dzieje się tak, że pierwotne idee zostają zatracone bądź wypaczone, a ich miejsce zajmują zupełnie nowe zjawiska. Wykreowana przez człowieka rzeczywistość wymyka się mu z rąk i zaczyna żyć własnym życiem. Na przykład rozwój i upowszechnienie mediów dawał nadzieję na popularyzację wartościowych idei, czy wiedzy o odrębności kultur. Powszechna, ogólnoswiatowa łączność miała być narzędziem szerszego dialogu, komunikacji, wymiany doświadczeń. I rzeczywiście tak się stało. Jednak jednocześnie narzędzia te spowodowały powstanie niezamierzonych zjawisk, i chyba trudno dziś prognozować dalsze kierunki ich rozwoju.

Dziś już mówi się otwarcie o uzależnieniach związanych z telewizją, Internetem czy komputerem. Radio i telewizja wykreowały zjawisko idola – aby stać się idolem, choćby pięciominutowym, jesteśmy w stanie sprzedać własną prywatność i intymność. Internet często – zwłaszcza w odniesieniu do dzieci i młodzieży – staje się poważnym zagrożeniem dla prawidłowego rozwoju emocjonalnego, a nawet dla więzi rodzinnych. To już nie jest tylko marnowanie czasu, lecz ucieczka z realnej egzystencji w wirtualny świat, który dostarcza „głębszych” przeżyć, barwniejszych emocji, odwracając człowieka od jego prawdziwego życia. Powoduje to często problemy w odróżnianiu rzeczywistości wirtualnej od realnej. Również jako źródło wiedzy Internet nie jest narzędziem doskonałym – zalew informacji wymaga umiejętnego weryfikowania ich prawdziwości, co często nie jest łatwe. Podobnie zjawiska pojawiają się także w przestrzeni duchowej. Rozwój psychologii, obok niezaprzeczalnych korzyści, jakie daje wiedza psychologiczna pomagająca rozwiązywać wiele ludzkich problemów,

został wykorzystany także do mniej szlachetnych celów - w najrozmaitszych psycho- i socjotechnikach, ułatwiających manipulację człowiekiem i wychowanie go na doskonałego konsumenta. W tych nowych przestrzeniach pojawia się mnóstwo nowych bożków, które potrafią w najrozmaitszy sposób oczarować człowieka, odwracając jego uwagę od istoty życia, zwalniając z konieczności zadawania sobie trudnych pytań i podejmowania niełatwych poszukiwań.

* * *

Wydaje się, że Internet – jeden z najmłodszych bożków naszych czasów – jest przestrzenią w pełni demokratyczną, bo każdy ma tutaj prawo głosić swoje poglądy. Narzędzie, które zrewolucjonizowało świat, obok wspaniałych możliwości, jakie daje: błyskawiczny dostęp do informacji, edukacja, praca, możliwość kontaktu z ludźmi na całym świecie, rodzi także zagrożenia. Dlaczego dla tak wielu ludzi życie wirtualne staje się tak ważne, czasem nawet ważniejsze od rzeczywistego? Czy to świadczy o kryzysie więzi międzyludzkich?

Nie najciekawszy obraz dzisiejszego życia nie zaspokaja potrzeb przeciętnego człowieka, które ciągle są rozbudzane najróżniejszymi obietnicami, jednak z różnych przyczyn trudnymi do zrealizowania. A nawet jeśli się to udaje, pozostawia uczucie niedosytu. Nie można żyć tylko tym, co oferują najróżniejsze reklamy, począwszy od środków do czyszczenia, poprzez żywność i podróże, a także usługi towarzyskie, randki i randkom podobne sytuacje. Skoro jest tak źle, trzeba urządzać sobie życie po swojemu, a przestrzeń wirtualna pozwala kreować rzeczywistość.

Świat realnych przeżyć został na tyle splotony, że nie wystarcza?

Tak. Tworzy się więc inny, alternatywny świat, który się nagina do swoich potrzeb, ale który ma też swoje prawa, na jakie nie mamy wpływu. To często uzależnia. Staje się ważniejsze od prawdziwego życia. Nie chce się wierzyć, ale były przypadki odebrania matkom prawa do opieki nad dziećmi z powodu tego internetowego nałogu. Sam wczoraj dość długo przeglądałem w Internecie archiwalne zdjęcia z powodzi w 1937 r. Jednak mam jeszcze jako tako silną wolę, wiem, że rano muszę wstać o 5.30, a w ciągu dnia mam wiele sensownej roboty, dlatego nie siedzę przed komputerem do późna w nocy. Ale jeśli ktoś nie ma tego rodzaju hamulców? Internet daje nieograniczoną ilość możliwości. Jak

każdy wynalazek może być używany dobrze lub źle. Staje się też okazją do powstawania nowych grzechów, jak choćby hakerstwo czy pirackie korzystanie z programów.

Internet pociąga także dlatego, że człowiek jest w nim anonimowy, może wygłaszać swoje opinie bez ponoszenia za to odpowiedzialności. Co Ojciec, jako autor bloga, mógłby o tym powiedzieć?

Traktuję komentarze do moich tekstów serio. Za każdym wpisem, nawet niesympatycznym, jest człowiek. Jeśli on świadomie kłamie, żeby mi dokuczyć, piszę mu spokojnie: Pan Bóg Cię i tak kocha. Sam zaś, jako autor bloga, występuję z otwartą przyłbicą. Wiele wypowiedzi na temat moich tekstów jest tego rodzaju, że chyba instynkt samozachowawczy autorów skłania ich do tego, by pozostali anonimowi. Po co się mają publicznie kompromitować?

Ale jest też dużo pozytywnych komentarzy. To, co Ojciec pisze, wielu ludziom pomaga w życiu.

Administratorzy mojego bloga zaproponowali mi, że będą usuwać komentarze negatywne. Powiedziałem im: absolutnie! Musi być obiektywizm. Nawet jeśli tych krytycznych będzie więcej. Oczywiście, z pozytywnych bardzo się cieszę, ale negatywne pozwalają mi bardziej trzeźwo patrzeć na świat. Mówi się: zwracaj więcej uwagi na głosy krytyczne wobec siebie niż na pochwały – w nich jest więcej prawdy.

Opinie krytyczne też świadczą o zainteresowaniu...

Bardzo dobrze, że i ateści czytają blog Leona. Może w odpowiednim momencie jakiś mój argument, czy moja postawa, jakoś zadziałają. Niektórzy do mnie piszą: podziwiam Ojca za spokój, cierpliwość w odpowiadaniu na prowokacyjne komentarze. Ja bym tak nie pisał.

Czy nigdy Ojciec nie traci cierpliwości?

Nie. Najwyżej czasem coś trochę zjadliwie napiszę, „z miłością, ale za mordę”...

Blog jest dla Ojca narzędziem ewangelizacji?

Takim się okazuje. Piszę go dlatego, bo moje Wydawnictwo TYNIEC mi to zaproponowało. A przy okazji moich wpisów bardzo wielu ludzi dyskutuje też między sobą.

Jeśli już mówimy o zjawiskach zupełnie nowych, jest jeszcze jeden temat – Ojcu zapewne obcy – zakupy. „Shopping” – to takie nowe słowo, określające wręcz formę spędzania wolnego czasu. Dziś często w hipermarketach można spotkać całe rodziny, nawet z małymi dziećmi. I nie chodzi w tym tylko o kupowanie... Galerie handlowe, współczesne świątynie konsumpcji, stały się miejscami, w których ludzie po prostu lubią przebywać i spędzają w nich coraz więcej czasu. Dotyczy to przede wszystkim młodego pokolenia. Dlaczego tak się dzieje?

Może dlatego, że jest to łatwo dostępna namiastka życia na tak zwanym poziomie? Kolorowe wystawy, modne ciuchy, drogie kosmetyki, fajna muzyka... Łatwo się na to nabrać, zwłaszcza młodym ludziom, którzy nie mają jeszcze ukształtowanego systemu wartości. A w mediach ciągle się słyszy zachęty do kupowania, nie tylko czegoś dla siebie, ale też dla innych, bo wypada dawać wszystkim prezenty. Zwłaszcza przed świętami ludzie biorą kredyty, kupują bez opamiętania, dają prezenty, a po świętach Bożego Narodzenia zaczyna się wielka akcja pozbywania się ich. W grudniu 2008 r. wydano w Polsce 20 miliardów złotych! Gdyby zmniejszyć te wydatki chociaż o 1/5 i zamiast 1000 wydać 800 złotych! Gdyby te pieniądze przeznaczyć na przykład na misje – utrzymanie 1 dziecka w Afryce to kwota około 15 euro miesięcznie. Ilu ludziom moglibyśmy w ten sposób pomóc! Polacy lubią jednorazowe akcje, takie jak na przykład zbiórka na powodzian albo WOŚP, ale trudniej o regularną pomoc. O taką

świadomość, że zamiast kupić kolejną rzecz, można te pieniądze przeznaczyć na pomoc innym.

Może ludzie za mało wiedzą o możliwości takiej pomocy? Trudno jest się im samym do tego zabrać, ale w konkretnej sytuacji, kiedy się ich o to poprosi, często chcą pomagać.

Więc trzeba więcej mówić. Potrzebni są animatorzy takiej działalności. W niektórych kościołach widziałem takie kąciki, gdzie każdy przynosił to, co było mu niepotrzebne, zamiast wyrzucać na śmietnik. Inni brali z tych rzeczy to, czego potrzebowali. I to wcale nie były rzeczy bardzo zużyte, zniszczone...

Wmawia się ludziom, że potrzebują najróżniejszych rzeczy, których braku może nawet by nie odczuwali, gdyby nie usłyszeli, że powinni je mieć.

I wydaje im się, że muszą mieć ciągle nowe rzeczy. Samochód 3-letni to już nie honor! Dlaczego moda wciąż się zmienia? Żebyśmy musieli ciągle coś kupować. Jeśli się kupuje tylko dla kupowania, przedmioty, które nie są potrzebne, i poświęca się na to wiele czasu, to oczywiście nie jest dobrze. Tym bardziej jeśli robi się zakupy w niedzielę, zamiast pójść na spacer z dziećmi czy pojechać w góry. Niedziela powinna być dniem, w którym ma się czas dla rodziny. I tego czasu nie powinno się spędzać w sklepie, nie mówię już o udziale we Mszy świętej! Warto przyjrzeć się samemu sobie i zastanowić się, co można w tej sprawie zmienić, poprawić. Jak wykorzystywać czas i pieniądze w rozumny sposób.

Dobrze byłoby zachować trochę więcej dystansu, bo przecież rzecz jest tylko rzeczą, a często traktuje się ją jak coś, co podnosi wartość człowieka – na przykład markowe ubrania, zwłaszcza wśród młodzieży. Jak przeciwdziałać takiej postawie, co można w tej sprawie zrobić?

Wydaje mi się, że osłabienie religijności wpływa na to, iż istotne wartości przestają mieć znaczenie. Ważne staje się to, co się ma, a nie to, kim się jest. Może to wynika też z kompleksów, braku wiary w siebie, w to, że można zainteresować drugiego człowieka swoją osobą, a nie tym, w co się jest ubranym. Za czasów papieża Jana XXIII stroje papieskie były pełne przepychu – złoto, pióropusze z pawich piór, tiara. Protestanci śmiali się z tego na soborze, mówiąc o *regnum papae* – królestwie papieża. Całe to nastawienie jednak zniknęło, kiedy się popatrzyło na jego twarz – dobrą, otwartą, sympatyczną twarz starszego człowieka. Chciałbym życzyć i kobietom, i mężczyznom, żeby popatrzywszy na ich twarz, już nie musiało się zwracać uwagi na co innego. O tym, kim jestem, świadczy moja twarz, moje zachowanie, a nie to, co akurat narzuciłem na siebie.

W czasach dość powierzchownych kontaktów bardzo duże znaczenie przywiązuje się do wyglądu i według niego ocenia się ludzi. Wynika to zapewne także stąd, że aby lepiej kogoś poznać, trzeba poświęcić mu trochę czasu, którego dzisiaj prawie nikt nie ma.

Dlatego ważne są grupy, w których ludzie znają się od wielu lat, na przykład dawne klasy licealne, które przez długie lata po skończeniu szkoły wciąż się ze sobą spotykają. Wtedy nie ma znaczenia, że twarze się zmieniają, starzeją, bo ważniejsze jest to, co ludzie mają sobie nawzajem do powiedzenia. Tworzy się wtedy to, co nazywamy społeczeństwem obywatelskim, do którego należą ludzie, którzy się dobrze znają i rozumieją, którzy się wzajemnie doceniają i chcą razem pracować dla dobra wspólnego, co oczywiście i im samym wychodzi na dobre.

Pojęcie dóbr materialnych, które można kupić, zostało poszerzone. Dzisiaj kupić można prawie wszystko, także prace magisterskie, stopnie naukowe, prawo jazdy, a nawet organy człowieka czy dzieci. W mikroskali witać to w codziennych czynnościach. Rodzice płacą dzieciom za to, że posprzątają pokój czy zrobią zakupy. Dziwne wydaje mi się to, że dzieci dostają pieniądze, coś w rodzaju miesięcznego

kieszonkowego. Kiedyś po prostu mówiło się rodzicom, czego się potrzebuje, i to wystarczało.

Kiedy skończyłem z dobrymi wynikami klasę IV szkoły podstawowej – wtedy się mówiło: powszechnej – Tatuś zapytał mnie, czy chcę w nagrodę 20 zł – przed wojną to było 20 kg cukru, 25 zł wynosiło miesięczne chesne w liceum – czy wolę pojechać na parę dni do Warszawy. Poradziłem się Mamusi. „Pewnie, że jedź do Warszawy. Jak ci będzie na coś trzeba, pieniądze i tak dostaniesz” – powiedziała. Normalni rodzice wiedzą, co jest dziecku potrzebne.

Właśnie. Normalni rodzice – normalne dziecko. Te pojęcia też trzeba byłoby zdefiniować. Może jest tak, że dzieci z rodzin przeżywających problemy, z powodu zaburzeń emocjonalnych łatwiej ulegają wszelkim nowym zagrożeniom. Wydaje się, że tradycyjnie rozumiany dom rodzinny i panujące w nim relacje stają się dziś coraz rzadszym zjawiskiem. Mówię o tym w kontekście tego, że wielu ludzi dzisiaj lubi „podglądać” życie innych. Może wynika to z chęci porównania, sprawdzenia, czy u innych jest tak samo jak u nas? W odpowiedzi na tę potrzebę znajduje się coraz więcej osób, które chętnie dzielą się z mediami nawet najbardziej intymnymi szczegółami swojego życia. Ekshibicjonizm medialny wszedł już na stałe do naszej codzienności. Na oczach milionów widzów przeżywa się osobiste tragedie i sukcesy. Programy typu Big Brother cieszą się ogromną popularnością. Czy sprzedawanie prywatności w mediach jest zjawiskiem normalnym, czy raczej czymś na granicy patologii społecznej?

Mnie śmiech pusty ogarnia, bo pamiętam ataki na spowiedź w konfesjonale, i na to, że przed księdzem trzeba wyciągać najintymniejsze problemy. Myśmy to tłumaczyli, że ksiądz jest zobowiązany do zachowania tajemnicy spowiedzi, że on też jest grzesznym człowiekiem, że sam również się spowiada. Nawet ateistyczne reżimy komunistyczne uznawały i szanowały tajemnicę spowiedzi. Teraz się okazuje, że nie prywatnie, na ucho, ale wobec milionów nieraz widzów mówi się

wszyćciusięńko o sobie: o intymnych szczegółach życia, pożycia małżeńskiego, kontaktach seksualnych, o tragediach rodzinnych, o śmierci, umieraniu, o złodziejstwie... Diabeł zakpił z człowieka. Człowiek obnaża swoją intymność całkowicie dobrowolnie. A może to takie przygotowanie się do Sądu Ostatecznego, kiedy wszystko wszystkim jawnym będzie? W takim układzie wszelka krytyka spowiadania traci podstawy. Bo jeśli zgodnie z modą, czy z wewnętrznego przekonania, czy dla pieniędzy człowiek mówi publicznie wszystko, nawet to, czego nigdy nie wymagałby ksiądz, to w takim razie dla mojego motywu wewnętrznego, wiary, ja również mam pełne prawo do takich zachowań, jakie mi nakazuje moja religia.

Często obnaża się swoją intymność za pieniądze, ze względów finansowych, ale nie tylko... To chyba nie jest jedyne uzasadnienie takich zachowań.

To jest rzeczywiście ekshibicjonizm. Ciekawa jest ta dwoistość w człowieku. Z jednej strony skrywanie swojej intymności, zastrzeżenie danych osobowych, a z drugiej odsłanianie publiczne swoich tajemnic duchowych i swego ciała aż do pełnej nagości włącznie.

Także pisanie intymnych blogów. Kiedyś pisało się pamiętnik i trzymało się go w biurku...

Ale nawet w pamiętniku nie pisało się o wszystkim!

Jak Ojciec sądzi, co człowieka do tego popycha?

To też jest jakiś bożek – świat jest bożkiem, któremu się kłaniam, obnażając się całkowicie. Dawni mnisi wyzbywali się wszystkiego dla Boga. Starzec Nil nie miał nawet ubrania, był tylko w brodę przyodziany. Dzisiejszy człowiek często obnaża się całkowicie dla tego bożka – świata, często zresztą i dla pokrewnego bożka – pieniądza. Wyzbywa się dla niego samego siebie.

Znikło gdzieś poczucie intymności.

Tak. Dzisiaj poczucia wstydu właściwie nie ma.

Nie tylko w sferze seksualnej. Można się publicznie przyznać do tego, że się coś ukradło, kogoś oszukało, zdradziło żonę...

I jeszcze być z tego dumnym! Zdarzało się zawsze, że bardziej samczy mężczyźni chwalili się „zaliczaniem” kobiet, ale to było traktowane jak swego rodzaju kuriozum. Do niedawna porządny człowiek nie przyznałby się do tego publicznie. Chyba po pijanemu, w jakiejś wesołej kompanii...

Oczywiście, w obliczu prawdziwej miłości nie odczuwa się wstydu. Miłość, zaufanie, absorbują wstyd. Jednak tutaj, w mediach, w publicznym obnażaniu się, nie ma miłości, a wstyd zniknął. Nieobyczajność stała się nowym bożkiem.

Do tych „nowoczesnych” bożków dzisiejszych czasów można też zaliczyć adrenalinę, która działa jak narkotyk. Wielu ludzi szuka dziś w życiu ekstremalnych wrażeń. Stąd zapewne coraz większa popularność niebezpiecznych sportów. Czy to znaczy, że zwyczajne życie dostarcza dzisiaj za mało emocji?

Dotyczy to tylko części ludzi. Większość ludzi żyje zupełnie normalnie i woli życie spokojne, unormowane. W Polsce ludzie przeważnie są domatorami, ewentualnie umiarkowanymi podróżnikami. Sytuacje stresowe raczej ludzi irytują. Jedynie część z nich uważa spokojne życie za bezsensowne, pozbawione wrażeń. Niezależnie od tego, czy mają rodziny, dzieci, co przecież bardzo angażuje człowieka i dostarcza wielu silnych emocji, to wszystko im nie wystarcza, szukają czegoś więcej, niebezpiecznych sportów, takich jak choćby wspinaczka górską, surfing, spadochroniarstwo, rajdy samochodowe czy motocyklowe. Coś takiego jest w psychice tych ludzi, że potrzebują mocnych wrażeń. To jest swego rodzaju zwielokrotnione hobby. Posiadanie jakiegoś hobby nie jest złe. To

dobrze, jeśli człowiek poza normalnym życiem jeszcze czymś się interesuje. W poszukiwaniu intensywnych wrażeń czasem chodzi o osobiste przeżycie, a czasem o to, żeby komuś zaimponować, i wtedy to może być groźne. Nie znam tego z własnego doświadczenia, ale myślę, że jeśli robi się to dla siebie, to instynkt samozachowawczy działa jeszcze jako tako. Gorzej, jeśli człowiek chce się przed kimś popisać, na przykład kto dłużej będzie leżał na torze przed nadjeżdżającym pociągiem.

Może właśnie ryzykowanie życiem jest tak ekscytujące?

Jako względnie normalny człowiek nie potrafię tego zrozumieć. Rozumiem himalaistów, kierowców, nawet pieszych na drogach, wszyscy ryzykują, ale to jest jakoś włączone w sens tego, co czynią. Natomiast takie ryzykanctwo, które już zakrawa na samobójstwo, na przykład motocykliści, którzy zakładają sobie specjalną pętlę na szyję, by w razie wypadku raczej stracić głowę, niż być kaleką – tego zupełnie nie rozumiem.

Są też rozrywki może nie aż tak niebezpieczne, co zupełnie dziwaczne, jak na przykład zyskujące coraz większą popularność ekstremalne prasowanie („extreme ironing”). Ironmeni prasują ubrania w różnych dziwnych, trudno dostępnych miejscach, na przykład na czubku drzewa, w nurtach górskiej rzeki, na szczycie Kilimandżaro, a nawet na Mont Evereście. Choć takie wariacje na temat sportów ekstremalnych są przynajmniej zabawne...

(Śmiech) To coś takiego, jak śluby podczas skoków spadochronowych czy pod wodą. Może to jest reakcja na taki mieszczański styl życia? Żeby nie było nudno? Jednak na szczęście takie potrzeby ma tylko niewielka część populacji.

To też nie jest zresztą coś zupełnie nowego...

Kiedyś adrenaliny dostarczały wojny. Zawsze znajdowali się ludzie, którzy brali w nich udział dobrowolnie. Czy choćby biblijny Dawid:

przekraść się ze swoim giermkim przez środek obozu nieprzyjaciela, dotrzeć do namiotu wodza Saula, nie zabijając go, zdobyć włócznię, którą ten miał przy sobie, i manierkę na wodę i wycofać się pozostając niezauważonym... To jest godne filmu kryminalnego!

Sama skłonność, żeby robić coś więcej, niż tylko zwyczajnie żyć, jest u człowieka czymś wrodzonym, i jeśli się jej nie realizuje, to jest to zwyczajne lenistwo. „Bezczynność jest wrogiem duszy” – napisał w *Regule* św. Benedykt. Przypomnijmy, że to właśnie zakonnicy wymyślili wiele do dziś znajdujących zastosowanie przedmiotów codziennego użytku, choćby okulary. Bo starali się udoskonalić swoją pracę. Na ogół człowiek ma skłonność do lenistwa i bezruchu, jak staw zarośnięty rżesą, więc chwalebne jest na tym tle to, że wielu ludzi chce robić coś więcej, gdyż to powoduje postęp i rozwój. Niektórzy jednak w tym przesadzają, to jest przerost ambicji, patologia albo już nie wiem co...

Czy uprawianie ekstremalnych, niebezpiecznych sportów nie jest grzechem przeciwko życiu?

Wspinaczka, czy inne sprawdzone sporty, raczej nie. Bo gdyby przyjąć takie kryterium, to wsiadanie do samochodu jest jeszcze większą okazją do grzechu. Trzeba tu rozważyć dobrze, z jakiego powodu człowiek to robi. Bo może jest to wyraz pychy, chęci pokazania się za wszelką cenę, zaimponowania komuś, o czym już wspominałem.

Prawdę mówiąc, niektóre z tych sportów są tylko z pozoru niebezpieczne.

W każdym razie nie bardziej niż wiele normalnych sytuacji w życiu. Ilu ludzi zginęło idąc ulicą, a ilu skacząc na *bungee*? Tak że trzeba być ostrożnym z potępianiem.

Jest jednak jeszcze kwestia odpowiedzialności za rodzinę. Czytałam wspomnienia żon himalaistów, którzy zginęli w górach. Mimo tego, że akceptowały pasję swoich

mężów, był w nich żal, że ważniejsze dla nich były góry niż one i dzieci. Żyły w ciągłym strachu. Czy można skazywać swoich bliskich na coś takiego?

Lekarza, który naraża swe życie, ratując innych, trzeba podziwiać. Ale są sytuacje, kiedy dobro własnej rodziny powinno być najważniejsze. Czasem człowiek nie ma prawa narażać się dla samej adrenaliny, właśnie ze względu na obowiązki rodzinne. Chyba każdy przypadek trzeba traktować indywidualnie.

Pracoholizm to w zasadzie stary bożek, ale może warto wspomnieć i o nim. Praca jest czymś bardzo ważnym w życiu, także benedyktyńskim, zgodnie z dewizą „módl się i pracuj”, ale może stać się nałogiem. Zdarza się, że praca zawodowa i firma są dla człowieka ważniejsze od życia rodzinnego. Firmy organizują też swoim pracownikom życie poza pracą, zapraszając ich na różne spotkania integracyjne, szkoleniowe, wspólne wyjazdy.

Pracoholizm może wynikać z różnych przyczyn: z poświęcenia dla firmy, z chęci zarobienia pieniędzy. Często jest też ucieczką od problemów osobistych. Czas wypełniony pracą pozwala o nich zapomnieć.

Praca jest wartością samą w sobie, ale nie może być ucieczką od problemów ani środkiem do nadmiernego bogacenia się. Nie może być jedynym celem życia, a firma bożkiem. Może czasem warto ograniczyć ilość czasu, jaki poświęcamy na pracę i znaleźć go więcej dla bliskich? Zastanowić się, czy naprawdę musimy mieć aż tyle pieniędzy kosztem życia rodzinnego. Pieniądze, wyższy poziom życia nie zastąpią prawdziwej więzi z dziećmi, jaka rodzi się podczas wspólnie spędzanego czasu, poznawania ich, budowania wzajemnego zaufania. To wszystko później owocuje i pozwala uniknąć wielu problemów.

Nie można sprowadzać człowieka do roli kółeczka w maszynie, która musi idealnie funkcjonować. Są jednak i takie firmy, które z dobrych pobudek organizują imprezy dla całych rodzin. Jeśli człowiek musi wybierać

między rodziną i życiem osobistym a firmą, to nie prowadzi to do niczego dobrego.

Właśnie brak równowagi w życiu rodzinnym i wynikające z tego problemy w sferze emocjonalnej prowadzą często do poszukiwania szczęścia pośród iluzji, które podsuwa nam świat. Po pewnym czasie zwykle następuje rozczarowanie i człowiek albo podąża za kolejnym złudzeniem – bożków jest przecież mnóstwo – albo dostrzega, że coś z nim jest nie tak, i zaczyna szukać pomocy. Taką pomoc może znaleźć u psychologa.

Psychologia w ostatnim czasie stała się bardzo popularną nauką. Wiek XX nazwano nawet wiekiem psychologii. Coraz więcej osób korzysta dziś z pomocy psychoterapeutów. Czy to świadczy o kiepskiej kondycji psychicznej dzisiejszego człowieka, czy raczej o wzroście poziomu wiedzy psychologicznej i korzyściach z niej płynących?

Na pewno psychologia może dzisiaj o wiele więcej powiedzieć o człowieku i więcej mu pomóc. Natomiast można też zauważyć związek między spadkiem religijności, zwłaszcza mniejszą ilością spowiadających się, a wzrostem zapotrzebowania na usługi psychologów.

To znaczy, że psycholog zastępuje dziś spowiednika? Jaka według Ojca powinna być właściwa relacja między psychologią a religią?

Jeżeli psychologia uwzględnia całego człowieka, jego duszę i ciało, czyli bierze pod uwagę także wierzenia religijne, to wtedy jedno drugie wspiera. Jeśli natomiast psychologia zupełnie abstrahuje od religijności człowieka i uważa ją jedynie za wytwór nie wiadomo czego, jakiś potrzeb czy wyalienowania człowieka z rzeczywistości, i tylko tak próbuje człowieka zrozumieć, to potrafi nawet go zniszczyć. Z mojego doświadczenia wynika, że psychologia, jak każda nauka, a może nawet bardziej niż inne, może wspierać religię.

Dobry psycholog pyta nie tylko o dom, rodzinę, pracę, ale także o życie religijne. Psychologia ignorująca przeżycia religijne człowieka nie potrafi do końca go zrozumieć i mu pomóc. Był ksiądz, znany filozof, wykładał marksizm, a były to czasy, kiedy lekarze obowiązkowo zdawali egzamin z marksizmu. W czasie takiego egzaminu poprosił o pomoc psychiatrę, mówiąc, że ma halucynacje i ciągle widzi wpatrujące się w niego uporczywie oko Opatrzności. Ten człowiek żył w ciągłym konflikcie wewnętrznym i to zaczęło rzucać na jego psychikę. Przez wiele lat był kapłanem, odprawiał Mszę, spowiadał, sprawował funkcje liturgiczne, a potem odszedł z kapłaństwa. Nawet jeśli to sobie racjonalnie wytłumaczył, nie mógł uwolnić się od tego, że w pewnym momencie zaczęły się odzywać te „warstwy” psychiki, które były zaangażowane w jego życie kapłańskie.

Czy w życiu zakonnym korzysta się z pomocy psychologicznej?

Mnisi tynieccy na szczęście nigdy nie bali się psychologów. Od czasu, kiedy wstąpiłem do Tyńca w 1958 r. – nie jestem pewien, jak to wyglądało wcześniej – przy przyjmowaniu kandydatów do klasztoru przeprowadzano badania psychologiczne i traktowaliśmy je zupełnie serio.

Kiedy byłem magistrem nowicjatu i nie mogłem sobie poradzić z kandydatami do klasztoru albo z kimś, kto przyszedł do spowiedzi, często zwracałem się o pomoc do psychologa, nieżyjącej już dzisiaj pani profesor Zenomeny Płużek. Także i pani Płużek, osoba religijna i bardzo krytyczna, przysyłała do mnie różne osoby, mówiąc, że jako psycholog zrobiła swoje, a teraz potrzebny jest ksiądz. Pomagała nam oceniać kandydatów na mnichów. Na sugestię, że kiedyś nie było psychologów przy przyjmowaniu kandydatów i było dobrze, odpowiadała, że przecież psychologię też Pan Bóg stworzył, i psychologów również. Trzeba więc wykorzystać to, co jest darem Boga. Choć oczywiście o tym, czy ktoś ma powołanie, czy nie, nie decyduje psycholog, tylko kapłan. Psycholog tylko określa stan psychiczny kandydata, jego predyspozycje do takiego sposobu życia. Były takie

przypadki w Tyńcu, że bardzo wspaniali na zewnątrz ludzie mieli bardzo poważne problemy z psychiką, co wykazały właśnie badania psychologiczne.

Zdarzało się, że ktoś nie został przyjęty do klasztoru z powodu problemów psychicznych?

Tak, zdarzało się. Był taki wypadek, że przyszedł do Tyńca bardzo pobożny, miły, śliczny chłopaczek. Z badań psychologicznych wynikało, że ten człowiek nie powinien być przyjęty do klasztoru, gdyż jest jakby na progu schizofrenii. Starsi mnisi na kapitule zakwestionowali wyniki badań, twierdząc, że to wspaniały kandydat, że nie można odrzucać takiego daru, który nam Pan Bóg daje. Powiedziałem o tym naszej pani psycholog. Skonsultowała wyniki badań z innym specjalistą, który potwierdził jej opinię. Młodzieniec przebywał jeszcze przez jakiś czas z innymi naszymi pracownikami i pewnego razu musiano go zabrać karetką do szpitala, gdyż dostał ataku szału. Współmieszkańcy powiedzieli, że już wcześniej to mu się czasem zdarzało, ale nie chcieli nic mówić, by mu nie uniemożliwić wstąpienia do klasztoru.

To znaczy, że psychologia może pomagać w kierownictwie duchowym, i odwrotnie?

Tak, bo nie każdy ksiądz musi być psychologiem, choć trochę psychologii wszyscy na studiach liznęli. Dobry psycholog naprawdę bardzo może pomóc. Mieliśmy w Tyńcu warsztaty dla małżeństw w kryzysie, prowadzone przez mnichów wspólnie z psychologami. Ludzie, którzy na nie przyjechali, mówili, że bardzo wiele skorzystali. Wiara w Boga sprawia, że człowiek jest silniejszy psychicznie, a dzięki pogłębionemu życiu duchowemu łatwiej sobie radzi z trudnymi nawet problemami wewnętrznymi.

Na temat dawania sobie rady z klótniami, które są taką plagą w „normalnym” świecie, możemy przeczytać już w apoftegmatkach Ojców

Pustyni: Przychodzi jeden abba do drugiego i mówi: – Słyszałem, że ludzie się kłóca. Pokłóćmy się! Tamten się zgodził i mówi: – To jest moja deska! – A nie, bo moja! – odpowiada drugi. – Jak tak, to ją bierz”. I koniec kłótni...
(śmiech)

Gdyby ludzie potrafili tak się kłócić w małżeństwach, psychologowie mieliby znacznie mniej pracy. Wydaje się, że psychoterapia, głębsze poznanie samego siebie, może w dużym stopniu pomóc w poprawieniu relacji z innymi, w uleczeniu zranień. Co Ojciec o tym sądzi?

Jak najbardziej, jestem za. Często nie znamy motywów swoich reakcji, nie rozumiemy własnych uczuć. Jest taka starogrecka sentencja: „poznaj samego siebie”. Wiedza o sobie jest bardzo ważna.

A nawet może pomóc w zbliżeniu się do Boga, bo często przez różne zranienia człowiek nie może odnaleźć wiary.

Tak, na pewno. Dlatego że pewne problemy życia rodzinnego czy społecznego potrafią tak zastopować człowieka, iż nie może się przez nie przebić do Pana Boga.

Zwłaszcza złe relacje z ojcem, czy w ogóle z rodzicami, bo przecież obraz Boga jest u dziecka odzwierciedleniem tych relacji.

Tak. Zapytałem kiedyś pewnego chłopaka, czy chce być taki jak jego ojciec. Odpowiedział: „Nie daj Boże!”. I jak komuś takiemu powiedzieć, że Pan Bóg jest ojcem? Bardzo trudno takiemu człowiekowi przekazać ideę Boga. Bez pomocy psychologa trudno się w takim przypadku obejść, bo ojciec duchowny nie musi być psychologiem, nie musi rozmawiać z kimś 3 godziny. Jego rola polega na czymś innym. Niekiedy nawet chwila modlitwy, skupienia, pomaga temu, kto do niego przychodzi, ale nie można też zbywać człowieka. Czasem sama możliwość opowiedzenia o swoich problemach komuś, kto bezinteresownie i życzliwie słucha, już

wiele pomaga. Nawet jeśli nie rozwiązuje to konkretnych problemów, samo mówienie porządkuje i racjonalizuje to, co kłębi się w człowieku. Dlatego poza duszpasterstwem ogólnym ksiądz zawsze powinien znaleźć czas na to, żeby porozmawiać z ludźmi indywidualnie.

A czy rozwój psychologii, coraz lepsze rozumienie pewnych mechanizmów psychologicznych, a także zaburzeń w tej sferze, wpłynęły jakoś na sposób postrzegania ich przez Kościół?

W związku z rozwojem psychologii, poznawania przyczyn zaburzeń psychicznych, teologia moralna modyfikuje pewne rozwiązania praktyczne. Dawniej nie uwzględniano tego, że przeszkodą w zawarciu małżeństwa może być psychiczna niezdolność do wykonywania podjętych zobowiązań. A dziś na tej podstawie uznaje się za nieważny nie tylko sakrament małżeństwa, ale i kapłaństwa.

Ta względna łatwość stwierdzenia nieważności małżeństwa z powodu niedojrzałości psychicznej stwarza chyba możliwość nadużyć w tej kwestii. Bo czy można tak jednoznacznie stwierdzić – poza skrajnymi przypadkami – niedojrzałość? Mam wrażenie, że dzisiaj większość ludzi jest w pewnym stopniu niedojrzała, a przynajmniej dojrzewa do odpowiedzialnego życia znacznie później.

To często zależy od sposobu patrzenia psychologa. Są przecież różne szkoły i różne definicje dojrzałości. Poza tym trzeba się liczyć i z symulacją którejś ze stron. Często władza zewnętrzna, sądownicza musi się liczyć z możliwością pomyłki w orzecznictwie. Wtedy odpowiedzialność obciąża sumienia ludzi, którzy w ten sposób próbują uwolnić się od trudnych więzów małżeńskich.

Czy zaburzenia osobowości, a także problemy takie jak alkoholizm, czy inne nałogi, można rozpatrywać w kategorii grzechu?

Człowiek nie zawsze odpowiada za pewne rzeczy, które w nim są, na przykład za skłonność do alkoholizmu albo czyny, które nie w pełni świadomie popełni pod wpływem alkoholu. Natomiast ważne jest to, w jaki sposób doszedł do tego. Grzech rodzi się w świadomości. Jeśli ja świadomie, wiedząc, że w stanie upojenia mogę zgrzeszyć, piję, to odpowiadam za to, że się napiłem, a nie za to, co po pijanemu złego zrobiłem. Ciekawe, że stan upojenia alkoholowego czasem jest uważany za okoliczność łagodzącą, a czasem za obciążającą...

Trudno chyba mówić, że alkoholik świadomie wybiera picie. Alkoholizm jest straszną chorobą, która nie ma nic wspólnego z silną czy słabą wolą. To nie jest tylko fizyczne uzależnienie, ale przede wszystkim choroba myślenia i uczuć. Alkohol staje się destrukcyjnym sposobem radzenia sobie z życiem. Chciałabym zapytać Ojca o jeszcze jedną rzecz, która także dotyczy wpływu psychologii na naukę moralną Kościoła. Jaki jest dzisiaj jego stosunek do samobójstwa?

Kiedyś Kościół traktował samobójstwo jak grzech ciężki, przeciwko 5 przykazaniu. Ale bez potępienia, czy raczej przesądzania o potępieniu człowieka, który się zabił. Można było odprawić Mszę za samobójcę, ale nie przy zwłokach. Samobójcy nie wnoszono do kościoła.

Jak w takim razie wyglądał pogrzeb?

Z domu przenoszono ciało zmarłego często wprost na cmentarz, niekiedy zatrzymywano się przed kościołem. Ksiądz wychodził, kropił wodą święconą, modlił się, a w kościele tego samego lub następnego dnia odprawiano Mszę świętą. Stosunek Kościoła do samobójców zmienił się w dużej mierze dzięki nauce, właśnie psychologii, która pomogła zrozumieć ten tak tragiczny czyn. Dziś uważa się, że życie jest tak wielkim skarbem, iż człowiek świadomie nie może go sobie odebrać. Instynkt życia jest najsilniejszym ze wszystkich instynktów. Skoro więc to robi, to znaczy, że jest w takim stanie psychicznym, iż najczęściej nie może za to odpowiadać.

Podsumowując ten temat, zapytajmy, czy da się wyraźnie rozdzielić sferę psychiczną człowieka od sfery duchowości?

Psychologowie nie bardzo lubią tak dzielić człowieka. Dzisiaj coraz bardziej się mówi o jego jedności wewnętrznej. Można jednak rozróżnić: ciało, duszę i ducha. Upraszczając sprawę, dusza to podkład duchowy, niematerialny, na którym dopiero może się rozwijać życie duchowe. Do życia duchowego, mistycznego, najprawdopodobniej nie jest zdolna dusza zwierzęcia, które podobnie jak człowiek przeżywa radość, smutek, potrafi być wierne. To chyba filozof albo antropolog mógłby określić, na ile to jest różne, bo na pewno to nie są dwa zupełnie odrębne byty.

Często można dziś spotkać ludzi żyjących w pojedynkę, czyli tzw. singli. Zwykle młodych, pięknych, dobrze wykształconych i nieźle zarabiających. Gdyby ich zapytać, dlaczego nie założyli rodziny, znajdą całkiem sensowne argumenty, by pokazać, jak wiele plusów ma taki sposób życia i że jest ich świadomym wyborem. Czy to nie jest trochę takie robienie dobrej miny do złej gry? Czy człowiek jest stworzony do życia samotnego?

W instytucjach świeckich gromadzą się ludzie, którzy poświęcając się Bogu, nie wstępują do zakonów. Żyją w pewnym sensie samotnie. Ale to jest kwestia powołania. Wydaje mi się, że jeśli ktoś ma wyraźny cel w życiu, w osiągnięciu którego rodzina przeszkadzałaby mu, na przykład wyjazd na misje, praca lekarza czy pielęgniarki, pasja naukowa, może dokonać takiego wyboru. Choć i na takiej drodze życiowej rodzina może być pomocą, jednak człowiek samotny jest bardziej swobodny. Zjedzą go ludożercy czy rozchoruje się albo ciągle przenosi się z miejsca na miejsce... Gdyby miał rodzinę, byłoby to dla niej bardzo obciążające. „Jedna głowa nie jest biedna, a jak biedna? – no to jedna” – jak mawiał ksiądz biskup Świrski. Poza tym ludzie są czasem tak zaangażowani w jakąś działalność, że ona wypełnia całe ich życie i po prostu nie mają czasu na założenie rodziny. Jeśli natomiast ktoś jest singlem z egoizmu, bo boi się pewnych obowiązków, to jest to nieuczciwe wobec społeczeństwa.

A wobec Boga?

To już jest sprawą własnego sumienia, które motywy takiego wyboru pochwała – a może i gani? Czasem ktoś nie chce być singlem, ale mu nie wychodzi, nie może znaleźć kogoś bliskiego, na przykład z braku atrakcyjności. Wtedy religia może mu pokazać, że Pan Bóg ma i dla niego jakiś plan, że można zrobić dużo dobrego, także będąc samemu. Być może serce pozostanie trochę gorzkie, bo ono zawsze pragnie kogoś jedyne, ale jeśli taki człowiek zobaczy, że tyle serc dzięki jego dobroci może się rozjaśnić, jego życie będzie spełnione.

Człowiek potrzebuje grupy, środowiska, w którym będzie się czuł akceptowany, które da mu poczucie wspólnoty, zrozumienie i wsparcie. Zwykle taka wspólnota tworzy się wokół jakiejś charyzmatycznej osoby, która potrafi ją zorganizować. Dotyczy to również grup religijnych. W ten sposób także kapłan może stać się liderem dla swojego otoczenia. Nasuwa się zatem jeszcze jedno pytanie, dotyczące tym razem bożków ludzi pobożnych: Czy kapłan nie przystania im czasem Boga prawdziwego, nie zajmuje Jego miejsca?

Już w czasach starożytnych człowiek był skłonny do ubóstwiania bohaterów. A i w chrześcijaństwie wielką czią, często aż przesadną, otaczani byli pustelnicy i ludzie o zauważalnej świętości. Ciągnęły do nich rzesze, narastały legendy, w których po wiekach niekiedy z trudem można było odnaleźć ziarno prawdy. Pod tym względem człowiek niewiele się zmienił, choć z drugiej strony często można się spotkać z postawami negującymi wszelkie autorytety i lekceważącymi wielkość.

Czy nie jest czasem tak, że brakuje wyraźnego rozgraniczenia między autorytetem a bożkiem? Autorytetem, którego rolą jest prowadzenie ku Bogu, ale nie zastępowanie Go. I tutaj przychodzą mi na myśl dwie postacie, choć zupełnie różne: pierwsza z nich to Jan Paweł II, którego pielgrzymki przyciągały takie tłumy, że były wręcz fenomenem socjologicznym. A z drugiej strony mało kto sięgał do jego nauki, encyklik. Czy kult Papieża Polaka nie miał cech kultu bożka?

Jana Paweł II cieszył się wielkim autorytetem już długo przed wyborem na papieża. Jego wybór dokonał się w czasie, gdy Polacy szczególnie potrzebowali potwierdzenia swojej wartości na innej płaszczyźnie, niż to czynił realny socjalizm. Kardynał Wyszyński był przykładem męstwa i mocy ducha negowanego przez komunizm, ale Polak-papież rekompensował niedosyt wszelkiego rodzaju, który miał miejsce pod panowaniem realnego socjalizmu. Ci wierni, których niepogłębiona religijność wyrażała się głównie w emocjach i przeżyciach związanych z kultem, zatrzymywali się odnośnie Jana Pawła II na tejże warstwie emocjonalnej i wprost kultowej. Wystarczał sam fakt istnienia takiego właśnie wspaniałego Polaka. Rzeczywiście dla wielu był (tylko?!) idolem. Natomiast ludzie wierzący i niewierzący o głębszym umyśle i szerszych horyzontach zwracali uwagę przede wszystkim na nauczanie i postawę Jana Pawła II. Pamiętam, prowadziłem kiedyś w telewizji *talk-show* na temat: „Czy papież jest idolem?” z udziałem wspomnianego już profesora Adama Schaffa – uczonego, Żyda, ateisty i komunisty. Już na wstępie profesor zaprotestował przeciw tak sformułowanemu tytułowi audycji. „Nie można stosować terminu «idol» do tak nadzwyczajnego człowieka, jakim jest Jan Paweł II, człowiek, który napisał wspaniałą encyklikę *Redemptor hominis (Odkupiciel człowieka)*” – mówił. Przyznał dalej, że w wyniku osobistego spotkania z papieżem, analizy jego postawy i lektury jego pism, coś się w nim zmieniło. On, dla którego nieistnienie Boga było swego rodzaju dogmatem, stwierdził: „Ja obecnie nie potrafię udowodnić nieistnienia Boga”. Kardynał Koenig z Wiednia powiedział na to: „To już krok naprzód, profesorze”. Nie wiadomo, czy i jaki krok naprzód zrobił jeszcze pod wpływem Jana Pawła II profesor, gdy długie miesiące leżał na wpół sparaliżowany i miał czas na przemyślenie swego dotychczasowego życia w świetle świadectwa Jana Pawła II.

Druga postać, o którą chciałam zapytać, to ojciec Tadeusz Rydzyk. Można odnieść wrażenie, że dla słuchaczy Radia Maryja jego sądy są często ważniejsze niż Dekalog i nauka Kościoła.

Ojciec Rydzyk jest niesiony na fali pewnej grupy ludzi, którzy na słowa „Ojciec Dyrektor” pieją z zachwytem i nie pozwalają na żadne słowo krytyki pod jego adresem i jego głównego dzieła, Radia Maryja. Na szczęście jest także wcale niemała grupa wiernych, również młodych i wykształconych, którzy obiektywnie patrząc na tę rozgłośnię, potrafią wydobyć z niej to, co dobre, korzystając z katechez, modlitw i klimatu wspólnoty, która jest niezaprzeczalnym faktem.

A reakcją na fundamentalizm części sympatyków Ojca Rydzyka zbyt często jest fundamentalizm jego przeciwników, którzy nie chcą przyjąć żadnego słowa, które by potwierdzało wartości Radia Maryja i talenty jego założyciela. Oczywiście każdy ma prawo krytykować ojca Rydzyka i jego dzieło, ale tu rodzi się pytanie, dlaczego bezpardonowi krytycy nie doprowadzili do utworzenia Radia, które nie stwarzałoby problemów dla Episkopatu, ale było autentycznym przekazem wiary we wszystkich jej aspektach, także społecznym i politycznym? Dlaczego nie powstała telewizja katolicka jako własność Kościoła w Polsce, a nie redemptorystów, czy właściwie ojca Rydzyka? Dlaczego nie powiodły się próby wydawania dziennika, który mogłyby zaakceptować wszystkie opcje katolicyzmu w Polsce?

Krytykować jest łatwo...

Jeszcze jedno, bardziej osobiste pytanie: Czy w związku ze swoją popularnością nie czuje się Ojciec kimś w rodzaju idola, bożka? Czy jest to trudna rola, czy wręcz przeciwnie? Wydaje się, że niełatwo być autorytetem w każdej sprawie i musieć odpowiadać na wszystkie pytania, jakie przychodzą do głowy wiernym czy dziennikarzom. Czy nie czuje się Ojciec tym zmęczony, przytłoczony? Na czym według Ojca opiera się ta popularność? Albo mówiąc prościej – dlaczego ludzie tak Ojca lubią?

Kiedy byłem klerykiem, bardzo się pchałem na pierwsze miejsce, bo byłem przekonany, że wszystko robię jeśli nie najlepiej, to w każdym razie lepiej od innych. Potem przyszła choroba, która ograniczyła możliwości doczesne, a przypomniała, że możliwość wieczna może być bliżej, niż mi się wydaje. Od tej pory, a także po święceniach kapłańskich, trochę spuściłem z tonu. Inna rzecz, że to, co robię jako kapłan i jako mnich, odbierane jest przez wiele osób z wielką życzliwością. Jednak to już nie moja zasługa, tylko Pana Boga, który mnie obdarzył pewnymi uzdolnieniami. Nie wszystkimi, bo ani naukowo się nie rozwinąłem nawet do stopnia magistra, ani języków obcych nie znam poza liźnięciem paru z nich. Nie gram też na żadnym instrumencie, nie mam osiągnięć sportowych ani wybitnych literackich, chociaż ci, którzy czytają moje książki, znajdują w nich wiele dla siebie i są za to wdzięczni. Widać jest coś takiego w mojej osobowości (po Mamusi!), że wielu ludziom odpowiada mój styl życia i sposób odnoszenia się do ludzi. Wielkie znaczenie ma tu życie w moim Opactwie i czerpanie z niego tego, co najlepsze, oraz kontakty z wybitnymi ludźmi, jakich w życiu spotkałem, na których czele stoi bezwzględnie Jan Paweł II.

Więc zamiast zadzierać nosa – a widzę, że nie ma z czego – zwyczajnie się cieszę z tego, że jest ksiądz, który nie budzi w wielu ludziach nastawienia antyklerykalnego, ale jest przyjmowany z sympatią. O więcej chyba trzeba pytać tych, którzy mnie lubią, i tych, którzy mnie nie lubią.

A ja myślę, że lubią Ojca przede wszystkim dlatego, iż do każdego spotkanego człowieka odnosi się Ojciec z serdecznością, ciepłem, uśmiechem. Tego ludziom dzisiaj często bardzo brakuje – takich zwykłych, ciepłych, serdecznych relacji.